

JANUSZ ANDRZEJ WINIARSKI

ur. 1933; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Stan wojenny
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	Lublin, stan wojenny

Stan wojenny

Byliśmy chyba wtedy wszyscy w domu. Dzieci były, Dana była, jeszcze ktoś chyba był i wiedzieliśmy, że coś się święci, bo tak: najpierw ubecy dostawali takie listy proskrypcyjne, że zostaną wymordowani, że „Solidarność” ich wymorduje i jacyś współpracujący z nami ubecy sygnalizowali, że coś się szykuje. Potem po dziesiątej zaczęły się urywać telefony, po jedenastej urwał się telefon z Zarządem Regionu, z którym byliśmy w stałym kontakcie. I potem okazało się, że jest stan wojenny. Dana zaraz się ubrała i poszła do ówczesnego pośta Staszka Rostworowskiego, żeby interweniować. Ja zostałem „na dzieciach”.

Jeszcze na wiosnę [1981 r.] było pogotowie strajkowe po Bydgoszczy, gdzie zostały stworzone całe struktury na wypadek stanu wojennego, służby medyczne, poszczególne komórki i tak dalej. Więc jak dowiedzieliśmy się, że jest ten stan wojenny, [to] rano przyjeżdża taki rolnik, z którym się zaprzyjaźniliśmy, Janek Wójcicki, który był na strajku w Rzeszowie, dostał glejt tam od nas i chyba z Solisem pojechał. Wpada do domu: „Dawajcie dzieci, bo was pozamykają. Dawajcie dzieci, ja zabiorę dzieci na wieś”.

A w ogóle to ja na początku grudnia zacząłem się źle czuć, stany podgorączkowe, byłem pod stałą opieką hematologii na Jaczewskiego i okazuje się, że mam skierowanie do szpitala, że mam wznowę po dziesięciu latach ziarnicy złośliwej. Mam to skierowanie do szpitala, ale jest stan wojenny, to przecież ja nie będę szedł do szpitala. Ubrałem dwie pary gaci, swetry jakieś i do Janka mówię: „Nie będziesz zabierał dzieci. Idziemy na przystanek”. Janek wtedy przehandlował chyba na Śląsku samochód jabłek, miał cały plik pieniędzy i mówi: „Nie ma co. Jedziemy do Świdnika”. Pojechaliśmy na ulicę Wileńską, Janek wynajął taksówkę, Janek, Wacek i ja pojechaliśmy do Świdnika. Tam zaczęliśmy redagować „Biuletyn Informacyjny”. Andrzej Bączkowski, zacności człowiek, prawnik, robi wykładnię prawną stanu wojennego, ale „Biuletyn” ma składać się, już nie pamiętam, z szesnastu [stron] A4 czy z ośmiu, a on napisał elaborat na osiem stron maszynopisu. Więc mordowaliśmy się, znaczy głównie on, bo ja mówię: „Andrzej, nie może być tak. To musi być tyle i tyle”. Siedzieliśmy parę godzin i wreszcie udało się wysmażyć taką odezwę do żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. To zostało wydrukowane i znów nasza trójka – Wacek, Janek i ja – wsiadamy w taksówkę, jesteśmy bogaci, bo Janek ma szmal i jedziemy do Lublina.

Jedziemy Mełgiewską od Świdnika i na wysokości Fabryki Samochodów widzę, że stoją policjanci i mówię: „Chować wszystko co mamy pod siedzenia. I w zaparte idziemy”. Rzeczywiście wyłuskują nas, robią rewizję, znajdują plakaty, odezwy. Punkt kontaktowy [to] był kościół św. Agnieszki na Kalinowszczyźnie, tam mieli czekać ludzie, którym mieliśmy tę odezwę do Ludowego Wojska Polskiego przekazać. Ale nie dotarliśmy. Oczywiście taksówkarz – to było jego źródło utrzymania przecież – potem na procesie powiedział, że to jest nasze. I co? I wiozą nas na Północną. Ja jestem skuty z Wackiem, prowadzą nas na trzecie piętro i stoimy przy takim oknie korytarza, które wychodzi na mój ogród, tam, gdzie rodzice mieli to gospodarstwo ogrodnicze. Ja mówię: „Wacek, jesteśmy na mojej ziemi”, bo część zabrano tej ziemi pod policję. Strasznie się wkurzyli ci pilnujący nas, że my sobie jaja z nich robimy. Ja mówię: „Panowie, autentycznie”. Potem na dołek, oczywiście tam rewizja, to, tamto, wszystkie papierki, przekładanie i kapitan Kufel, który zresztą mieszkał na naszym osiedlu, na Osiedlu Marii Konopnickiej, przegląda te wszystkie papiery i widzi tam jakieś kwity, analizy, morfologie i aktualne skierowanie do szpitala. Wzywa dwóch lekarzy, starszy [z nich] mówi: „Przy tym rozpoznaniu i w tym stanie, ja nie wyrażam zgody na zatrzymanie w areszcie tego pana”. Na takie dictum wróciłem do domu.

Ponieważ ta odezwa godziła w sojusze Paktu Warszawskiego, więc byliśmy oskarżeni o godzenie w obronność Polski Ludowej. Miałem się meldować codziennie w prokuraturze wojskowej.

Następnego dnia skontaktowałem się z panią Ireną Przeciechowską i mówię: „Pani Ireno, Wacek siedzi, Janek siedzi, mnie wypuścili z tego i z tego względu. Co ja mam robić?”. „Do szpitala się kładź natychmiast! Będzie łatwiejsza obrona, jak jeden z kryminalistów jest na wolności”. Poszedłem do tego szpitala i święta, Nowy Rok spędziłem w szpitalu na kroplówkach. I potem co dwa tygodnie na trzy dni do szpitala. Tak było do sierpnia [1982 roku].

Data i miejsce nagrania	2010-04-19, Motycz
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"